

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w Warszawie 1 rb., z przes. poczt. 1 rb. 25 kop.

Nr. 47. Warszawa, d. 19 (6) Listopada 1904 r. **Rok III.**

Do art. p. t.: „MENELIK I JEGO PAŃSTWO".



Gwardjacy Menelika.

Menelik i jego państwo.

(Ciąg dalszy.)

W sądzie obie strony, oskarżony i skarżący, składają przysięgę przed zeznaniem.

W sprawach o zabójstwo oskarżony staje związany łańcuchem z człowiekiem „zaufania", który za niego odpowiada; jeżeli idzie o mniejsze przestępstwo, zwykłą bójkę lub kradzież, oskarżony i skarżący stają razem, przywiązani do siebie togami; gdyby jeden z nich uciekł, pozostawiłby ubranie, jako świadectwo, przeciw niemu mówiące. Procedura sądowa odbywa się ustnie, bez żadnych akt i dokumentów na piśmie, śród gorących rozpraw.

Abisyńczyk zalicza do większych przyjemności gdy może być, jeżeli już nie stroną czynną, to przynajmniej widzem procesu sądowego. „Etjopowie—powia Ferret i Galinier—mogą rozprawiać długo z zapałem, nigdy nie tracąc rezonu, a gdy już wyczerpią środki krasomówcze i argumenty, kończą spór propozycją zakładu o woły lub barany. Jeżeli strona przeciwna nie godzi się na zakład, uważa się ją za winną w sprawie, która była powodem zakładu. Procesy sądowe wogóle są nadzwyczaj częste; wloką się bez końca i zdaje się nieraz, że zamiłowanie w krasomóstwie jest większe, aniżeli chęć wygrania sprawy. Strony przemawiają same, lecz nigdy nie braknie między galerją amatorów, ofiarujących się z wypowiedzeniem mówki na rzecz której ze stron. Nierzadko można widzieć wysokich dygnitarzy, gienerałów, arystokratów rodowych, wysuwających się przed sędziów w obronie jednej lub drugiej strony. Sędzia słucha cierpliwie, nie ulegając jednak wpływom mówców, gdyż wogóle Abisyńczyk w naturze swojej ma wiele poczucia sprawiedliwości. Często poczucie to jest tak silne, że strona skazana sama przyklaskuje wyrokowi, na siebie wydanemu.

* * *

Armja abisyńska składa się kadrów stałych, ochotników i milicji, która ma obowiązek stawić się na każde wezwanie władzy. Ochotnicy, godzeni na rok, tworzą małe armje przy osobach rasów i cesarza; dostają utrzymanie i skromny żołd, nie mieszkają jednak w koszarach, jak w Europie, ale w domach włościan, którzy, jako podatek, obowiązani są utrzymywać jednego albo kilku pieszych lub konnych żołnierzy.

Liczba wojsk stałych wynosi 20000 milicji, zaś na rozkaz cesarski może stanąć przeszło 250000 żołnierzy, uzbrojonych w broń własną. Uzbrojenie to pozostawia wiele do życzenia i nie można go porównać z uzbrojeniem armji europejskich. Spotyka się tam fuzje różnego systemu, muszkiety, karabiny, albo tylko szable i włócznie. A jednak żołnierz ten w czasie boju, dzięki swojej nieustraszonej odwadze, staje się bardzo niebezpiecznym dla wroga. W ataku pieszym Abisyńczyk niema sobie równego; w ręcznej walce rzuca się na przeciwnika, tarczą odbija bagnet i przeszywa wroga włócznią. Atakując, wydaje ogłuszające okrzyki, co samo nieraz wywołuje panikę i zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela.

Oficerowie francuscy, którzy widzieli Abisyńczyków w walce, są zachwyceni. „Posiadają oni przymioty, czyniące ich doskonałym wojskiem: są zdrowi, odważni, trzeźwi i wytrzymali". W czasie kampanji Abisyńczyk może poprzestać na kilku garściach mąki i grochu za całodzienne pożywienie... Dziesięć tysięcy żołnierzy abisyńskich mogłoby przeżyć rok cały w warunkach, w jakich ta sama liczba europejczyków nie wytrzymałaby trzech miesięcy. „Gdy nie mieli co jeść—powiadają Combes i Tamiesier — ściskali silnie brzuchy paskami i w ten sposób bez wielkiej przykrości mogli po trzy dni nic nie jeść."

Abisyńczycy zachowali w swoich upodobaniach i przyzwyczajeniach wiele z dawnych tradycji. Rycerscy, ceniący niezależność, przyprzypominają nieco awanturników średniowiecznych; pomimo tego charakter ich nie jest pozbawiony uczuć humanitarnych.

Jak w Europie w wiekach średnich, tak w Abisynji obecnie duchowieństwo tworzy państwo w państwie; posiada ono olbrzymie majątki ziemskie, których liczba ciągle się zwiększa, wskutek darów, otrzymywanych od wiernych; tworzy też ono potężną arystokrację.

Większość kościołów, według Combesa i Tamisiera, fundowali ludzie możni, którzy chcieli przez to zmazać zbrodnie i występki, jakich się w życiu dopuścili. Stawiali również klasztory i kościoły królowie na pamiątkę odniesionych zwycięstw, obdarzając je hojnie dotacjami dla duchowieństwa.

W wieku XIII naszej ery zwierzchnik duchowieństwa Tekla Haimanot pozyskał prze-

wagę władzy nad słabym monarchą ówczesnym i założywszy cesarstwo teokratyczne, rozdał między duchowieństwo większą część dóbr ziemskich, blizko dwie trzecie całego terytorjum kraju.. Po 600 latach dopiero Theodoros przyłączył dobra kościelne do korony, pozostawiwszy duchowieństwu tyle tylko gruntów, ile potrzeba do wyżywienia jego członków.

Zaczęły się podziemne knowania, do których też przykładali rękę europejscy misjonarze różnych wyznań. Doprowadzony do ostateczności Theodoros zabronił wszelkich dysput religijnych w swoim państwie i zakaz ten potwierdził również jego następcy.

Obecnie duchowieństwo w Etjopji niema już wpływu na sprawy polityczne i rządy. Władza liczy się tylko z dwoma głównemi zwierzchnikami duchowieństwa: Abuną i z Etcheguichem. Pierwszy jest przedstawicielem dawnych tradycji w zarządzie kościołem, powierzonym mu przez patrjarchę Aleksandryjskiego. Jeszcze w IV wieku św. Atanazy powierzył zarząd kościoła w Abisynji apostołowi Trumentiusowi, nakazując mu we wszystkich kwestjach wiary zwracać się do Aleksandrji i stamtąd wybierać biskupa. Zwyczaj ten dotrwał aż do naszych czasów; z tego powodu abuna jest zawsze obcym dla ludności, której kościołem zarządza. Często bywa nim mnich koptyjski, wysłany za karę, do Abisynji jako do miejsca wygnania. Niema też czasu nauczyć się języka ludu, którego jest przewodnikiem duchownym.

Z małemi wyjątkami pozostaje w dobrych stosunkach z cesarzem, który go obsypuje honorami i dotacjami. Jako naczelnik duchowieństwa świeckiego zawsze działa zgodnie z wolą cesarza, który jednak, dla zapewnienia sobie spokoju wewnątrz państwa musi się z nim liczyć.

Źle zwykle na tym wychodzili panujący, którzy postępowali inaczej.

Gdy w r. 1604 abuna Petros zwolnił od przysięgi poddanych negusa Za Denguela, władca ten został opuszczony przez część swego wojska. Theodoros, w późniejszych czasach, rozgniewany na abunę, zagroził mu śmiercią, czego mu ten nie darował, podburzywszy przeciw cesarzowi całe duchowieństwo. Głucha opozycja, prowadzona wytrwale, spowodowała w końcu zgubę cesarza.

(C. d. n.)

MIASTA DALEKIEGO WSCHODU.

II. Czyta.

Przed kilkoma tygodniami, naznaczony, jako lekarz pociągu sanitarnego, odwożącego chorych do dalszych miast, odbyłem podróż do Czyty i Werchnieudińska. Wyruszyliśmy z Charbina późną nocą, pośród jęku chorych, rozmieszczonych po wagonach. Ranek przywitał nas na stepach. Bezgraniczne przestrzenie, a na nich niezakłócona cisza, którą mącił jedynie głuchy turkot pociągu. Pusto dokoła, ani żywej duszy, niby w królestwie umarłych. Tylko co kilkadziesiąt kroków majaczy nad ziemią samotna „fanza“.

Co pewien czas zatrzymujemy się na stacjach, głównie po to, aby przepuścić pociągi, dążące w stronę przeciwną, na teatr wojny. Korzysta z tej przerwy każdy, aby skoczyć po wodę gorącą na herbatę. Chorym przynoszą ją sanitarjusze. I znów pociąg mknie śród bezgranicznych stepów, pod oponą przeczystego błękitu, nie przyćmionego ani cieniem obłoku. Słońce zaczyna przygrzewać na dobre. Jedziemy bez końca, mijamy „rozjazdy”, t. j. miejsca, gdzie są podwójne tory, dla umożliwienia mijania się pociągów; mijamy mosty i mostki, z wiecznie czuwającą strażą pograniczną; mijamy wreszcie stacje za stacjami. Na stacji Cycykar zjedliśmy pierwszy raz ciepły obiad po kilkunastogodzinnym poście.

Wreszcie, po trzech dniach takiej podróży, gdym się obudził pewnego ranka w wagonie, zastałem zmianę.

Stepów ani śladu. Pociąg biegł w kotlinie, zamkniętej z obu stron pasmem wysokich gór kamiennych, w których leżała cieniutka warstwa zielonej pleśni. Nagle roztworzyły się widnokręgi; jechaliśmy zboczem skały, a pod na-

mi leżała ślicznie ukwiecona łąka. Na krańcu łąk słabo majaczyły gór pasma. Na stacji „Buchadu", dzięki uprzejmości kolegi, który nas zaprosił do siebie na obiad, mieliśmy sposobność poznania uroczego zakątka. Domki i szpital stoją pośrodku niewielkiej polany, usianej dzikim kwieciem. Naokoło niebotyczne góry, kilka fanz chińskich. Wysoko, na jakimś samotnym szczycie, stał, niby z bronzu wyciosany, wartownik, ogarniając niestrudzonym okiem okolicę. Obok niego słup, owinięty słomą. W razie zauważenia czegoś podejrzanego, napaści chunchuzów na plant i t. p., strażnik zapala słomę, dając w ten sposób sygnał i ściągając odsiecz.

W nocy, ku wielkiemu żalowi, przejechaliśmy najpiękniejszą część gór, tak, że mogliśmy podziwiać tylko długi tunel, oświetlony elektrycznością. Rankiem wyjechaliśmy w okolice mniej górzyste, które stopniowo przeszły w płaszczyznę,

Przed oczami formalne ogrody; prawie wszystkie nasze kwiaty, hodowane w klombach, rosną tu dziko, a takie ich masy, takie bogactwo, obfitość, wybujałość, że ćmi się wprost od barw, od natłoku kolorów: żółtego, czerwonego, fioletowego, błękitnego. Stada koni harcują po tych aksamitach, aż żal się robi, gdy kopyta ich tratują niemiłosiernie taki przepych

Minęliśmy stację „Chajlar", gdzie zjedliśmy obiad i następnego dnia obudziliśmy się na stacji „Mandżurja".

Od czasu, gdyśmy tędy po raz pierwszy przejeżdżali, dążąc na wojnę, t. j. przed pół rokiem, zaszły znaczne zmiany. Powstał nowy, okazały dworzec, a dokoła stacji wyrosło mnóstwo skleconych z desek domków, a raczej straganów, gdzie sprzedają chleb, cukier, herbatę, kiełbasę. Wreszcie uderzyło mnie to, co już i na innych stacjach zauważyłem: niema już teraz tego mrowia Chińczyków, którzy wysiadywali na ławkach, bądź w poszukiwaniu zarobku, bądź jako gapie.

Mniej więcej o dziesięć wiorst od stacji stoi słup, a na nim z jednej strony smok, z drugiej dwugłowy orzeł. To granica Mandżurji. Tu zaczyna się Syberja, ściślej mówiąc, kraj Zabajkalski.

W miarę oddalania się od Mandżurji, powierzchnia zaczyna nieznacznie falować. Niewysoka, spalona przez słońce trawa, pokrywa ziemię; dokoła błyszczą stogi siana; pasą się stada koni. Mijamy smutne, drewniane rozjazdy, i niemniej smutne, niby wymarłe, stacje. Ponad wszystkim przejrzyste, jeszcze błękitne niebo i cisza...

Po trzech dniach przybyliśmy na stację „Burjatskaja", zawdzięczającą swą nazwę prawdopodobnie poblizkiej wsi burjackiej. Burjaci z powierzchowności podobni są do Chińczyków, ale mają twarze mniejsze, otwory oczu węższe, a bardziej wystające górne szczęki. Twarze ich są bardzo dobroduszne, o dziecięcym uśmiechu, co jednak nie jest bynajmniej dowodem naiwności.

Od „Burjatskiej" zaczęły się znów skały, z początku nizkie, potym coraz wyższe. Tu też, poraz pierwszy od wyjazdu z Polski, ujrzałem młody lasek brzozowy. W miarę podróży, lasy stawały się coraz starsze i gęstsze; wreszcie otoczyły nas góry, pokryte całkowicie borami sosnowemi, świerkowemi, brzozowemi i t. d. Widoki przecudowne, nie ustępujące Szwajcarji. Linja kolejowa zakreśla ciągle łuki, tak że pociąg wije się po szynach, nakształt węża. Oto wjeżdżamy w długi kurytarz, wyciosany na znacznej wysokości, w zboczu skały. Olbrzymie głazy wiszą nad nami, zdają się już, już staczać—radbyś weprzeć je ręką. Teraz pędzimy nad rzeczką. Z jednej strony prostopadła ściana kamienna, z drugiej widok na łąkę, ukwieconą bajecznie, podnoszącą się nieco i ginącą w gęstwinie lasów. A tu znów, na dole, na dnie przepaści, zielona polana, ze stadem koni, z kopami siana. Domki karczowników i drzewo, ułożone w sągi, widnieją co krok.

Wreszcie przyjechaliśmy do Czyty.

Oczekiwała nas licznie zebrana publiczność, cywilna i wojskowa. Zaraz zabrano rannych i długi sznur lektyk, noszy i wozów ruszył w stronę rozmaitych szpitali.

Pociąg nasz stanął w „Czycie-Dworcu", t. j. na stacji towarowej, gdzie mieszczą się zarządy kolejowe, warsztaty i domki dla urzędników oraz robotników. Do miasta jest jeszcze $2^1/_2$ wiorsty. Co dwie godziny jednak odchodzi pociąg zwany „uczniowskim", ku wygodzie młodzieży gimnazjalnej, mieszkającej na „Dworcu". Wkrótce też, z całą masą uczniów i uczennic, jechałem w dwóch wagonach, i po 10 minutach byłem w mieście.

Budynek stacyjny murowany, obszerny i wykwintny.

Czyta jest stolicą okręgu Zabajkalskiego, siedzibą gienerał-gubernatora i odpowiednich urzędów. Leży na lewym brzegu rzeki Czyty, niedaleko jej ujścia do Ingody.

Niewielka wioska kozacka rozwój swój datuje od roku 1827-go, kiedy zesłani tu zostali dekabryści. Ich dobre chęci dały początek miastu, a jedna z ulic nawet nosi nazwę

„Damskiej”, ku uczczeniu żon zesłańców, które podążyły za mężami na wygnanie.

Miasto leży tuż przy stacji, w dolinie między górami, a część jego gubi się w pięknym, sosnowym lesie. Ulice szerokie, równe, niebrukowane i przeważnie bez chodników. Niektóre są bardzo długie i biegnąc wzdłuż miasta, ku górom, giną gdzieś w nich.

Przed stacją duży plac ogrodzony, zasiany trawą, na którym prawdopodobnie będzie założony ogród. Jeden ogród znajduje się już w mieście, a upiększony lampionami i fantazyjnemi kioskami, jest miejscem przechadzek i zabaw publicznych.

Domów w Czycie jest około 4-ch tysięcy, przeważnie drewnianych, jednopiętrowych; niektóre bardzo ładne, o architekturze, będącej czymś pośrednim między stylem chińskim i gotyckim. Domy murowane to siedziba urzędów, a między niemi gimnazjum męzkie, ogrodzone żelaznemi sztachetami, to gmach tak wspaniały, że i Warszawa go pozazdrościć może.

Kilkanaście cerkwi, kościół, synagoga, wspomniane już gimnazjum męzkie, do którego uczęszcza 300 uczniów, gimnazjum żeńskie, seminarjum nauczycielskie, seminarjum duchowne, szkoła rzemiosł, kilka szkół początkowych—oto główne gmachy. Są także instytucje dobroczynne, jak np. dom pracy, przytułek dla dzieci. W roku 1899 założono telefony.

Ludność miasta wzrasta szybko, bo kiedy w roku 1896, według spisu jednodniowego, było w Czycie koło 15-tu tysięcy mieszkańców, w r. 1902 – 21 tysiące, teraz liczba dosięga trzydziestu pięciu tysięcy. Sporo tu Polaków, urzędników i nie urzędników. Jeszcze więcej żydów. Są to przeważnie zesłańcy lub ich synowie i wnuki. W rękach żydów wiele sklepów i drobny przemysł.

Kilkunastogodzinny postój nie pozwolił mi, naturalnie, zgłębić charakteru miasta i jego stosunków. Zauważyć się daje wszakże małe ożywienie na ulicach i w sklepach. Wszędzie cisza, martwota, zastój; niewiadomo, gdzie się podziewa te trzydzieści tysięcy ludzi. Od czasu do czasu spotyka się malca, wracającego ze szkoły, niańkę z dzieckiem, panią, ubraną po miejsku z koszyczkiem w ręce, chłopa rosyjskiego, idącego za interesami, a najczęściej urzędników w najrozmaitszych uniformach. Niekiedy przejedzie senny „izwoszczyk” chudemi szkapami lub wlecze się ciężki wóz ładowny.

Wieczory spędza się w „Zgromadzeniu publicznym”, w którego pięknej sali znajduje się scenka, a w niej stałe grono miłośników sztuki dramatycznej grywa rzeczy lżejsze lub poważniejsze.

Drużyna nasza, złożona z trzech lekarzy, ośmiu sióstr miłosierdzia i kapitana-komendanta pociągu, wzbudzała powszechną ciekawość nielicznych przechodniów. Bo też nie codzień spotyka się, nawet w większych od Czyty miastach, towarzystwo takie, przybyłe wprost z wojny i dążące napowrót, do huku armat i karabinów. Uprzejmie witano nas w sklepach, po których włóczyliśmy się z przyzwyczajenia, nabytego w Charbinie, gdzie wciąż szuka się po handlach cennych okazów sztuki chińskiej i japońskiej. Chcieliśmy kupić kart pocztowych z widokami, lecz nigdzie nie mogliśmy ich dostać. Zabrakło. To samo było i w Werchnieudińsku. Wszędzie ta sama skarga: wyszło... dowóz utrudniony... I jeszcze jedna rzecz, godna uwagi: zarówno w Czycie, i Werchnieudińsku, jak w Charbinie, znajdzie się przynajmniej po jednej cukierni i wędliniarni z napisem: „polska”. Mają tu już one wyrobioną reputację i cieszą się wzięciem.

Zakończyliśmy oglądanie miasta spacerem po lesie, na górach. Dzień miał się ku końcowi. Dziwne to i potężne wrażenie takiego lasu syberyjskiego, ciągnącego się setki wiorst. Tyle się o tym czytało, że mimowoli, gdy się człowiek zagłębia w te puszcze nieprzebyte, lęk ogarnia. A nuż się zgubię, zbłądzę w tym morzu drzew, nie odnajdę drogi powrotnej?..

A powietrze! Powietrze lasu sosnowego na takich przestrzeniach! Coś nieznanego nam zupełnie. Płuca mimowoli się rozszerzają, wchłaniają woń, oddech staje się lekki i rześki. Nie wydają mi się już przesadzonemi pochwały, oddawane leczniczym własnościom powietrza w Czycie. Tak czystą amosferą nie oddychałem jeszcze w życiu!

Dr. Antoni Grosglik.

LEOPOLD JANIKOWSKI.

W górach Kryształowych.

(Ciąg dalszy.)

Czasem urządzają i uroczystości wodne, tańce w łodziach. Łodzie te są to pnie drzew wydrążone, ładnie obrabiane, są lekkie i dosyć silne, lecz łatwo wywrotne. Do połowu ryb używają maleńkich łódek, wojenne łodzie są olbrzymie i często do 100 osób mogą pomieścić. Oprócz wyrobu łodzi i innych rzemiosł, celują Mpangue głównie w garncarstwie i kowalstwie. Naczynia gliniane, jak garnki i najrozmaitszej formy fajki, wypalane na czarny i czerwony kolor, są bardzo ładne. Słynne są wyroby kowalskie: dzidy, noże, tasaki; ornamentowane gustownie i polerowane rozchodzą się one daleko w głąb i są poszukiwane z powodu swego pięknego wykończenia i trwałości.

Żelazo kupują w sztabach z faktorji europejskich, lecz przerabiają i własną rudę, której wszędzie obfitość. Prawie w każdym mieście jest kowal, osoba ceniona przez wszystkich, gdyż niezbędna. Reszta ludności zajęta handlem.

Kauczuk, heban i czerwone drzewo są głównemi artykułami, których dostarczają na brzegi za pośrednictwem czarnych handlarzy. Kauczuk przygotowują w ten sposób, iż nacinają korę ljanu lub drzewa kauczukowego nożami; biały płyn, wyciekający stąd, podobny do gęstej śmietanki, zbierają w naczynia i następnie gotują z dodatkiem soli lub soku cytrynowego. Gdy płyn zgęstnieje, tworzy się elastyczna masa, z której robią okrągłe lub podłużne kawałki. Cena 100 sztuk wagi 3 funt. kosztuje 1 dolara towarem. Towarami najpokupniejszemi są fuzje, proch, tytoń i sól.

Heban rąbią w szczapy, długości metra; jest on bardzo tani, płaci się tylko za koszt transportu. Dostarczają czasem i kości słoniowej, lecz mało, gdyż, nie mając odpowiedniej broni, boją się polować. Słoni jest tu pełno. Najczęściej, gdy kilka słoni urządzi sobie legowisko w danym miejscu, zbiera się kilkuset krajowców i szybko otacza zwierzęta palisadą, wbijając pomiędzy drzewami pale i wiążąc wszystko silnemi ljanami. Następnie rozstawiają się z bronią palną. Słonie, spostrzegszy uwięzienie, starają się wydobyć, biegają na około i są ciągle rażone strzałami, dopóki nie padną Urządzają też krajowcy polowania i na inne zwierzęta, głównie na dziki, antylopy, małpy i ptactwo — czasem i lamparta zastrzelą. Wszystko, co tylko żyje w lesie lub wodzie, jest dobre do jedzenia, znoszą więc do domu, co się zdarzy: jaszczurki, węże, szczury, jeże, wszelkie robaki, wędzą i gotują z olejem. Wyrób oleju z orzechów palmowych lub bambusowych jest już pracą kobiet, jak w ogóle i cała cięższa praca gospodarcza spoczywa na ich barkach. Muszą uprawiać rolę, sadzić banany, manjok, kukurydzę, dostarczać ryb, oleju, robić maty, zajmować się dziećmi, domem, wreszcie dźwigać ciężary za swym panem, gdy ten udaje się w drogę. Głównym pożywieniem Mpangue jest korzeń manjoku *v. kassada*. Korzenie grubości ręki, moczą w wodzie słodkiej, gotują, tłuką w moździerzach na miazgę, robią podłużne wałki, zawijają w liście i jeszcze raz gotują; w ten sposób nie psują się przez parę tygodni i są dobrodziejstwem w dalekich podróżach.

Z podróżami, choćby były dalekie, nie robią sobie krajowcy wiele zachodu. Mężczyzna zabiera broń, jedna zaś z jego kobiet niesie maty do spania i trochę owego manjoku; jeżeli noc zaskoczy w lesie, rozpalają ognisko i śpią gdziekolwiek; jeżeli przybywają do miasta, zawsze znajdują kogoś z rodziny swych licznych żon. Gdy ja np. przybywałem z swą karawaną, gościnny kacyk dostarczał prowizji, złożonej z bananów, kur, a na znak przyjaźni i radości z przybycia ofiarowywał gościowi wszystko, co dom posiada, nawet żony i córki. Moralność jest dziwnie u nich pojmowaną: mąż oddaje żony, jeżeli ich ma wiele, swym znajomym, sąsiadom, w czasowe posiadanie i nie jest to brane za złe; jeżeli jednak kobieta złamie sama wiarę małżeńską, jest bardzo surowo karana. Mąż wiąże biedną, kraje jej całą skórę nożem, goli głowę i wystawia na plac publiczny, gdzie wszyscy mają prawo ją bić i znęcać się.

Głowa rodziny ma władzę nieograniczoną, prawo życia i śmierci nad swemi żonami i nikt go po tym względem nie kontroluje.

Jak wszędzie w Afryce, tak i u Mpangue, panuje wielożeństwo; im kto bogatszy, tym

więcej kobiet posiada. Kobiety Mpangue są, w porównaniu z innemi plemionami, bardzo drogo płacone. Zwykle rodzice sprzedają dziewczynkę, za 100 do 200 dol., spłacanych towarem i ratami, wartość owego towaru na monetę europejską wynosi kilkadziesiąt franków. O kupno dziewczyny toczą się często długie spory, rokowania, targi; rodzice wyliczają ilość fuzji, prochu, tkanin, kuferków, monet krajowych, tj. kawałków żelaza, w pęczki powiązanych, wreszcie inwentarza jak kozy, barany. Gdy należność odebrana, dziecko idzie do domu przyszłego pana, a w dziesiątym roku życia zostaje żoną. Często w 11 lub 12 roku jest już matką. Kobiety, zaczynając żyć prędko, prędko się też starzeją.

Często, gdy w danej okolicy za mało jest dziewcząt lub wszystkie są jeszcze dziećmi— młodzieńcy urządzają dalekie wycieczki na poszukiwanie towarzyszek. Zwykle pod pozorem handlu zjawia się taki łowca w nieznanym mieście i prosi o nocleg. Gospodarz daje posiłek, kąt w izbie i jako towarzyszkę jedną z swych córek. Młodzieniec ma z sobą talizman, pomocny przy wykradaniu kobiet, kładzie go nieznacznie na ziemi tak, aby dziewczyna, nic nie wiedząc, przestąpiła przez to, następnie stara się zjednać tę kobietę, opowiada o bogactwie, jakie posiada, o tym, że mieszka w pobliżu białych, że żona jego będzie się stroiła w nieznane jej dotąd tkaniny itp. wreszcie proponuje ucieczkę i zwykle zaraz w nocy oboje znikają. Rodzice nie bardzo się troszczą o zaginioną, wiedzą bowiem, z jakiego miasta gość ich pochodził.

W parę tygodni ojciec wybiera się w drogę, przybywa do tej miejscowości i urządza t. zw. *palawer* tj. zanosi skargę publiczną; żąda zapłaty za córkę. Często przychodzi do zgody, zdarza się jednak, że ów młodzieniec nie ma pieniędzy, zwraca więc kobietę, a za kradzież płaci mały podarek. Jeżeli jednak odmówi zwrotu, a miasto stanie po jego stronie, następuje wojna.

Urządzenia społeczne są bardzo proste. Każde z miast ma swego naczelnika-króla, władza jest dziedziczna, lecz niezbyt rozległa. Wszelkie sprawy są roztrząsane przez starszyznę miasta, od ogólnej więc rady zależy i wypowiedzenie wojny.

Wojny są ciągle na porządku dziennym i nietylko spory o kobiety są powodem, czasem przedmiot najbłahszy wywołuje zatargi; tak np. zajęcie inwentarza, choćby kury tylko, powoduje rozprawy, kończące się zbrojnie. Mpangue są narodem bitnym, odważnym, wychowanym w ciągłych wojnach, które stały się ich żywiołem. Wierząc w życie pozagrobowe, nie lękają się śmierci. Od dziecka broń jest nieodstępną towarzyszką każdego krajowca. Dawniej za całe uzbrojenie mieli łuki, dzidy i długie noże, dziś broń palna europejska jest w ręku prawie każdego. Są to stare karabiny skałkowe lub kapiszonowe, dostarczane na brzegi przez faktorje europejskie, a przenoszone wraz z prochem w głąb przez czarnych handlarzy-pośredników. Proch sypią krajowcy garściami, na to drugą garstkę siekańców, najczęściej podłużnych kawałków żelaznego rozbitego garnka. Nic dziwnego, że broń, tak nabita, szarpie, z tego też powodu boją się strzelać z przykładaniem do twarzy, lecz trzymają fuzję zdala w obu rękach. Pomimo to, mając wzrok znakomity, strzelają celnie.

Dzidy zatrute, noże, noszą od wypadku, gdyby nieprzyjaciel zaskoczył niespodziewanie; łuki wyszły zupełnie z użycia, gdzieniegdzie przechowują je, jako zabytki dawne, tak że z trudnością mogłem zdobyć parę okazów do mych kolekcji.

Walki nie prowadzą nigdy otwarcie, lecz zawsze z zasadzki lub urządzają niespodziewane napady. Przygotowania trwają zwykle długo, często miesiące. Gdy starszyzna zdecyduje, że wojna konieczna, nie robią sekretu, lecz jawnie ludność męska idzie w lasy po kauczuk i zamienia go na proch i kapiszony; do pomocy przybywają buszmani z głębi, spokrewnieni z danym miastem. Codziennie odbywają się wielkie tańce. Miasto nieprzyjacielskie postępuje podobnie; jeżeli jedno od drugiego dzieli niezbyt wielka odległość, bębnami sygnałowemi drażnią się, wymyślają sobie wzajemnie. W domach narad straże zbrojne okrzykują się noc całą; kobiety, udające się na plantacje po jarzyny, dostają silną eskortę.

Nareszcie przygotowania ukończone, miasto posiada 100 lub więcej fuzji, wtedy wzywają fetyszerów do urządzenia tańca wojennego i rozdania amuletów.

Śród lasu, w miejscu osłoniętym gąszczem, lepią z gliny olbrzymiego wieprza z jednej strony, a z drugiej postać człowieka, w pozycji leżącej—w pośrodku układają stos czaszek sławnych wojowników. Duchom składają ofiary i krwią skrapiają owe postacie z gliny— przyczym odbywają się tańce i śpiewy.

Czasem z kory drzew świętych robią stos i okadzają go dymem. Jednocześnie łapią żółwia świętego w lesie, stroją go w błyskotki i z nim na ulicy miasta odbywają taniec, w którym udział biorą i kobiety. Ze zmrokiem puszczają żółwia wolno.

Nazajutrz mężczyźni, obwieszeni talizmanami, nacierają się gliną z owej ludzkiej figury i wyruszają w pochód; gdyby żółw przebiegł im drogę, zawracają, gdyż to oznacza nieszczęście.

Za zabicie człowieka prawa Mpangwe mówią: „życie za życie", lecz nie wynika stąd aby należało koniecznie karać mordercę. Jest solidarność, wszyscy stają za jednego, chociażby nie miał racji. Oczekują napadu, przygoto-

ŻYCIE ULICZNE W CHINACH.



Muzykanci.



Golibroda.

wani, tymczasem nieprzyjaciel napada niespodziewanie na zupełnie inną, niewinną osadę, lecz należącą do tego, co zabójca, plemienia. Następuje wymiana strzałów; gdy uda się im ranić lub położyć trupem kilka osób, cofają się zadowoleni. Naturalnie, miasto napadnięte nie zostaje dłużnym, atakuje znów jakąś niewinną wioskę i powiada: „mścijcie się teraz wy z kolei na tych a tych, którzy dali powód do walki". Tym sposobem rozpoczyna się ogólna wendetta. Zabijają najczęściej po plantacjach bezbronne kobiety. Ten, kto dał powód, t. j. rzeczywisty zabójca, uchodzi bezkarnie, a naokół padają niewinne ofiary. W końcu cały spór tak się zagmatwa, tyle wiosek ogarnie, że dojście do jakiejś zgody jest prawie niemożebnym; to też ciągną się walki podobne przez lata całe.

Bardzo rzadko, lecz zdarza się, że rozsądniejsi doprowadzają do układów; ciągną się one miesiącami, następuje zawieszenie broni

ŻYCIE ULICZNE W CHINACH.



Szewc uliczny.

i rozprawy. Są to posiedzenia ciekawe, lecz czasem niebezpieczne, wszyscy bowiem przychodzą z bronią nabitą i odwiedzionym cynglem. Przy najmniejszym nieporozumieniu mówca chwyta zaraz za fuzję, wali w całą gromadę i w nogi do lasu. Powstaje zamieszanie i walka na noże. Gdy przymierze zostanie zawarte, obie strony płacą sobie wzajemnie za ilość zabitych dziewczętami; kto był winny, składa dodatkowo pewną sumę w towarze i inwentarzu. Czasem, gdy zatarg poważniejszy, łączy się spólnie wiele miast i koalicja taka napada na szczep sąsiedni. Wtedy już i kanibalizm wchodzi w grę; jeńców, schwytanych podczas walki, zjadają.

Przy opisach obrzędów religijnych wspominałem, że każdy Mpangue jest kanibalem: raz próbuje ludzkiego mięsa, jako dziecko, drugi raz, jako młodzieniec, — widzimy więc, że kanibalizm jest ściśle złączony z religją. Kapłani-fetyszerzy posługują się także ludzkim mięsem w celach leczniczych, szczególniej dla kobiet nieraz okadzania dymem z ludzkiego mięsa mają być bardzo pomocne w krytycznych chwilach. Słyszałem od naocznych świadków, że np. na górnych dopływach rzeki Ogowe, również przez Mpangue zamieszkanych, są targowiska, gdzie kawałami ćwiartują i sprzedają zabitych jeńców wojennych. Mpangue, śród których ja przebywałem, tak nie postępują, nie uważają mięsa tego za przysmak. Kanibalizm jest u nich aktem zemsty. Mając jeńca, chcą dokuczyć nieprzyjacielowi, więc powiadają: „Oto wasz brat! będzie nietylko zabity, lecz i zjedzony! Każdego z was czeka los podobny!"

(D. n.)

Ogrody w Tokio.

Wszystkie mieszkania w Japonji posiadają obowiązkowo ogrody, będące prawdziwą osobliwością, istnym objawieniem dla Europejczyka. W różnych kierunkach, śród majolikowych wazonów, rosną maleńkie drzewka dziwacznych kształtów, sztucznie osiągniętych po długich latach cierpliwego starania: każde zagięcie, każda gałąź, każdy listek, mają proporcję i kierunek, z góry postanowiony i obmyślany. Inaczej drzewa nie posiadają żadnej wartości w oczach Japończyka.

Dużo drzew karłowatych sprzedaje się nieraz po cenach bardzo nizkich, dlatego tylko, że jakaś gałąź, czy zagięcie nie odpowiadają przyjętym regułom; drzewa takie znajdują wprawdzie nabywców, lecz nikt nie uważa ich za dzieło sztuki. Nieraz z dwu krzewów, wydających się Europejczykowi zupełnie jedna-

kowemi, jeden ceniony jest kilkaset franków, drugi zaledwie kilka. Skąd taka różnia w cenie? Dlatego, że doświadczone oko Japończyka odkryło natychmiast w drugim lekką niedoskonałość kształtów, a raczej lekkie zboczenie od przepisanej formy.

W każdym razie, małe karłowate drzewa japońskie, doskonałe czy niedoskonałe, są wprost zachwycające; spotykamy drzewa wiśniowe, śliwkowe, magnolje, azalje i t. d. w różnych gatunkach, a wszystkie one roztaczają wkoło siebie jakąś atmosferę dobrobytu i spokoju, dzięki tej istotnej czy pozornej, doskonałości kształtów.

Nietylko jednak drzewa stanowią urok ogrodów japońskich. Tu i tam wznoszą się maleńkie artystyczne budowle, których niedomknięte okna pozwalają podziwiać alkowy, tkaniny, obrazy, a wzdłuż murów każdej komnaty szereg małych wazonów z minjaturowemi ogródkami. Tu i owdzie kaskady, wodotryski, parki, rozmiarów odpowiednich; tu jakaś ścieżyna wązka śród skał względnie imponujących, tam jezioro tajemnicze, kręte.. a wszystkie te ogrody są zazwyczaj odtworzeniem krajobrazów słynnych, dające złudzenie rzeczywistości, dzięki doskonałemu zachowaniu stosunków.

Kwiaty, zarówno jak drzewa, muszą odpowiadać pewnym przyjętym regułom. Niektóre kwiaty, jak róże, lilje, uważane bywają przez Japończyków za poronione płody natury; największym cieszą się powodzeniem irysy, magnolje, azalje, lotusy, kwiaty wiśniowe, śliwkowe, brzoskwinie i t. d. Japończyk nietyle lubi kwiaty i ogrody dla nich samych, ile dla efektów, wywołanych różnemi kombinacjami kształtów i kolorów; wygina, torturuje, nadaje najdziwaczniejsze kształty drzewom, ażeby dosięgnąć szczytu sztuki w tym względzie. Nie jest prawdziwym ogrodnikiem, ponieważ dobry ogrodnik niewolniczo naśladuje naturę; Japończyk, przeciwnie, usiłuje despotycznie nagiąć naturę do swojej fantazji.

Z ogrodów publicznych w Tokio zasługuje na szczególną uwagę ogród *Iwasali*. Większa część jego powierzchni pokryta jest jeziorem fantastycznym, czarownym, miejscami ukrytym śród grot tajemniczych, miejscami wijącym się wzdłuż alei z irysów; tworząc tam archipelag z wysepek, pokrytych sosnami—tu, podmywając skały, przeglądające się w jego przezroczystej toni. Głównym urokiem i czarem tego ogrodu jest doskonałość w proporcjach i układzie kolorystycznych efektów.

Jednym z najdawniejszych i najciekawszych jest ogród *Matsu-ura*. Osobliwością jego jest herbaciarnia, gdzie podają herbatę z ceremonjałem prawie religijnym, ułożonym przez pewnego pobożnego kapłana dla oderwania młodego księcia, szoguna z dynastji Tokugara od zbyt hulaszczego życia. Herbaciarnia ta jest od niepamiętnych czasów punktem zbornym najwybitniejszych osobistości w Tokio.

Z innych ogrodów zasługują na uwagę dwa: ogród Arsenału, pełen w minjaturowych dozach piękności bez liku; oraz ogród *Hori-kiri* z niesłychaną ilością irysów różnych kolorów i kształtów Hori-kiri jest jakąś bajeczną, zaczarowaną krainą kolorów: Europejczyk nabiera tam przekonania, że pod szarym niebem Zachodu ludzie nie mają nawet pojęcia o barwach.

Władysława Zarembina.

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie

JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

IV. Zwaliska.

Cała kraina, która była niegdyś siedzibą władzców mongolskich, dziś jest olbrzymim cmentarzyskiem miast i pałaców. Nawet Egipt nie posiada tylu ruin na swych piaskach, ile ta kraina na ziemi mrącej. Tam, nad brzegami Nilu, świat granitów potwornych; tu marmury rznięte, głazy dzierżgane, kamienie zębate, leżą wszędy, jak rzeczy porzucone, pośród smętnej płaszczyzny. W Indjach tych, gdzie myśl i czyn ludzki ruchliwy przez wieki

wspaniale wzbierały, szczątki wieków ubiegłych są niezliczone, a mnogość ich, piękność i ogrom zbijają z tropu wyobraźnię spółczesną. Prócz grodów, które unicestwiły wojna i pogrom, są inne jeszcze, których budowa zbytkowna zarządzona była przez kaprys tego lub owego władcy, a których nie zdołano wykończyć; są pałace, przeznaczone dla tego lub owego sułtana, które zatrudniały całe szeregi rzeźbiarzy—i nigdy nie miały mieszkańców.

Pomiędzy Delhi i zwaliskami stolicy starożytnej, której wieża z czerwonego granitu *) jest chyba najwyższą wieżą na świecie, wzdłuż drogi, spotykasz wszędy widma grodów i warowni: mury zębate, trzydzieści do czterdziestu stóp wysokie, z rowami i mostami zwodzonemi; śród nich—ani ducha; cisza, a gdy wkroczysz, małpy spłoszone rozlatują się jedynie śród zarośli i szczątków zwalonych.

Są także całe miasta umarłych—tak rozległe, że końca ich nie widzisz. Ziemia, całemi wiorstami wzdłuż, zasłana mogiłami zmarłych; idą szeregami kioski pogrzebowe, pomniki, grobowce wszystkich epok, wikłają się labiryntem pośród gruzów, zakrętów.

Z pośród mogił są jeszcze utrzymane z zadziwiającym nabożeństwem, tym dziwniejszym, że są ukryte, pogrążone poza tysiącem innych, opuszczonych i rozpadających się. Ścieżki, które do nich prowadzą, pośród kamieni, dziur, starych piwnic rozdziawionych, wątpię, czy byłyby do odnalezienia, gdyby nie zaścielało ich z dwu stron rzędami całe żebractwo cmentarne, zbiór kalek i trędowatych, czyhających na jałmużnę od tysiącznych pielgrzymów. Jest to prawdziwe rozradowanie — obaczyć, naraz, po tych drogach zapylonych, czarodziejskie mauzoleum, ze ścianami z marmuru dzierżganego, z makatami z czerwonego jedwabiu, złotem haftowanego z drogocennemi dywanami, na których wdzięczą się świeże równianki tuberoz i gardenji. Najzbytkowniejsze z tych grobów są to miejsca spoczynku dawnych samotników, fakirów lub derwiszów, którzy żyli w ubóstwie dobrowolnym i ostatecznym zaniechaniu rzeczy ziemskich, a których pamięć potym jaki pan udzielny zapragnął uczcić z pompą niesłychaną.

Wieża z różowego granitu ukazuje się gdzieś w dali, na horyzoncie tej krainy śmierci, tuż przed jakiemiś murami warownemi i pałacami rzeźbionemi, które u nóg jej się roztaczają, na pochyłościach tej ziemi zeschłej, kamienistej, pozostawionej dziś kozom i pasterzom.

Południe już wkrótce, godzina tłocząca, gdy przechodzę przez wrota podwójne, z łukami potrzaskanemi, prowadzącemi do tego grodu widmowego: jest to rodzaj stepu cmentarnego, zamkniętego obwodem wielkich murów zębatych, tak ogromnego, że zaledwie możesz okiem ogarnąć całość pola obwodu. Wewnątrz kilka drzewek, mrących od suszy, rozsnuwających na wietrze upalnym liście złotożółte; stosy kamieni bezkształtnych; tu i owdzie kopuły, tak stare i zgładzone, że można je wziąć za skały; i tylko na skrajach tej wieży zdumiewającej, różowej, resztki ciężkiego przepychu wskazują byłą dzielnicę królewską. W tych tu szczątkach przesławnych zmieszały się wszystkie style; tyle wojen, najazdów przeszło po tej ziemi starej, tyle zniszczeń po sobie nastąpiło, i tyle odbudowań prawie nadludzkich, że już nic nie wiesz zgoła. Historja tego kąta ziemi zostaje mrokami przesłonięta.

Tu oto, w tym pałacu jakiegoś króla legiendowego, pragnę się schronić na czas odrętwiającego żaru południa, w cieniu prawie ożywczym granitów tysiącoletnich. Na kilka godzin snu czy wywczasu pragnę tu sam pozostać, nawet bez służącego Indusa, w kącie wysokiej galerji, w rodzaju lodżji, górującej nad salą w niezliczonych kolumnach czworobocznych, pokrytych rzeźbą starodawną; sam—by snadniej przeniknąć do serca tych ruin, a nawet — tych zwierząt, które dziś jedynemi ich gośćmi. Na zewnątrz słońce palące leje żar na step opuszczony; ani muchy brzęczenia, ani grania koników polnych; nic—tylko zrzadka krzyk zwarty, żałosny papugi, wracającej do pałacu na sen w cieniu, do gniazda, które tam śród rzeźb tych górnych; lub tedy szmer drobny kupki zeschłych listków, które tłuką się między kolumnami, napędzone tu przez podmuchy wiatru głodowego.

Granity, nakrywające salę ciężkim sufitem, splatają się, przekładają stosem piramidalnym; są to monolity wielkiej długości, nieco obrobione, jak belki starych naszych porządków ciesielskich: zaczyn dziecięcy ludzkości, nie znającej jeszcze *kopuły, krzywizny* sklepień, lub jeszcze być może nie ufającej im. Podemną widać nasamprzód las kolumn, trzonów wspaniałych—rzecz prosta, każdy z jednolitej sztuki—których zarys czworokątny cofa wyobraźnię w najpierwotniejsze czasy induskie. I z zakątka ciemnego, z cienistej widowni, na której się znajduję, widzę także, przez wielkie wyręby otwarte, rzeczy na zewnątrz; widzę granity czerwone, głazy czerwone, porfiry,

*) Wieża Kutb.

wszystkie ruiny okoliczne, które w słońcu ognistym sprawiają wrażenie jakby rozpalonych do białości i do czerwoności. W stoku ledwie dostrzegalnym, jako że powietrze tak jest przezrocze i światło tak przejrzyste—prześliczne portyki zarysowują swe łuki drogocennie rzeźbione, po których biegną napisy Islamu, w pierwotnym piśmie kufickim. I obelisk żelazny, niewiadomego wieku *), wznosi się cały czarny i pokryty literami sanskryckiemi, pośród mogił i grobowców, na placu, taflami wyłożonym, który był dawniej podwórcem wewnętrznym meczetu bardzo czczonego, osławionego swemi czasy, jako „najpiękniejszy na ziemi".

Kroki lekkie—na dole—po taflach!... Trzy kozy w towarzystwie małych koźląt wchodzą do pałacu i bez zawahania, jak istoty uzwyczajone, idą na moją galerję górną, kładą się w cieniu na drzemkę południową. W ten sam sposób wizytują mnie wrony, a nadewszystko synogarlice; cały ten lud ptasi szuka ochłody, sadowi się i zasypia. I wkrótce potym cisza nastaje stanowcza, niezachwiana, nieprzerywana nawet szmerem liści martwych, które wiatr wywiał i zasnął w tej chwili, jak wszystko dokoła.

W głębi mej lodżji jest małe okienko, wychodzące na zewnątrz, przez które wimienem widzieć niebo; lecz nie! to, co widzę, zdaje mi się haftem białym na tle różowym, który jakby zawisł i trzyma się w powietrzu, w odległości nieokreślonej: to boki tej wielkiej wieżycy, różaność jej granitów i białość inkrustacji marmurowych.

Tu moje ostatnie stajanie przed tym Benaresem, którego się lękam, a dokąd przybędę za dwa dni, nie mogąc już dłużej odkładać ostatecznego zawodu, który mnie tam spotka niechybnie.. Myślę o tym wiele, tu pośród tego pokoju tajemniczego ruin; marzenie moje biegnie ku temu domowi mędrców, których ubóstwo mam podzielić i gościnę tak osobliwą...

(*C. d. n.*)

*) Obelisk, 20 stóp wysoki, wzniesiony, jak głosi napis, przez Radżę Dhava, na upamiętnienie zwycięstwa nad plemionami Valhikas, prawdopodobnie koło III wieku naszej ery; jedyny pomnik żelazny, przekazany nam przez starożytność.

Książki i Czasopisma.

Michał Rawita-Witanowski. Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym. Z rysunkami oryginalnemi Jana Olszewskiego. Warszawa. Wydanie z udziałem zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Gorliwy pracownik na polu ludoznawstwa p. M. Witanowski, autor monografji Łęczycy, wystąpił obecnie z poważną pracą o Kłodawie, dziś małej mieścinie, a ongi jednej z najstarszych osad, później zaś mieście, największym w województwie - po Łęczycy. Po wstępie historycznym, zawierającym zarys dziejów Kłodawy, szczegółowym opisie kościołów i dawnych gmachów miejskich, drugą część książki stanowią „Kłodawskie strony pod względem etnograficznym"—bogaty zbiór pieśni, gadek, anegdot, przysłów i t. p. oraz opis różnych zwyczajów i obrzędów ludności miejscowej. Zamyka ten dział słownik gwary ludowej, zawierający sporo pracowicie zebranych charakterystycznych prowincjonalizmów. Trzecią częścią dzieła jest „Dyplomatarjusz", obejmujący łacińskie teksty przywilejów królewskich, nadawanych niegdyś Kłodawie. Skorowidz osób i miejscowości ułatwia orjentowanie się w książce, która zasługuje na uwagę osób, miłujących rzeczy krajowe. Powrócimy jeszcze do niej w obszerniejszym artykule, tymczasem zaś wyrażamy uznanie autorowi za piękną i pożyteczną pracę.

Józef Jankowski. „Samuel Zborowski" Juljusza Słowackiego. Myśli i wrażenia. W Krakowie. Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Godną uważnego przeczytania jest ta praca, zawierająca poglądy autora na „Samuela Zborowskiego", którego nazywa nietylko największym arcydziełem w dziedzinie poezji, lecz zarazem najwyższym objawieniem ducha ludzkiego i ducha polskiego w dziedzinie tejże poezji.

Józef Jankowski. Skoczek. Warszawa MCMIV—Kraków. Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pięknym białym wierszem opowiada p. Jankowski dzieje skoczka Santanella, którego „płodem marzeń długoletnich, tęsknot, trudów, kołysanych w sercu, w każdym nerwie ciała" było salto, „oderwane od poziomów i dające choć na mknienie ludzkiej bryle smak wieczności". Gdy wykonał je przed ludźmi, tłum, który do tej chwili bił mu oklaski, okrzyknął go czarownikiem, socjuszem djabła i rzucił się z wściekłością na Skoczka, chcąc go zamordować. Santanello schronił się do klasztoru, gdzie ofiarował Matce Bożej to „czego ludzie nie przyjęli."

Wiadomości fotograficzne, w n-rze 21 zawierają następujące artykuły: Fotogramy gumowe, przez J. Świtkowskiego; Sellechromia, przez Jana Trautha; Wskazówki praktyczne, Drobne przepisy, Rozmaitości, Bibljografję, Sprawy Towarzystw, Pytania i odpowiedzi. Zdobią numer trzy doskonale, jak zwykle, odbite reprodukcje fotografji amatorskich. Pożądanym byłoby, ażeby Redakcja przy fotografjach takich, jak w ostatnim numerze, włościanin lub aleja, dawała podpisy objaś-

niające, z wymienieniem miejscowości, w której zdjęcia dokonano. Wówczas fotografje, prócz znaczenia czysto artystycznego, stanowiłyby materjał bardzo pożyteczny do badań krajo- i ludoznawczych.

W odezwie zwraca się Redakcja do amatorów fotografji i zawodowców z prośbą o nadsyłanie celniejszych swych prac. Zamieszkali w obrębie Cesarstwa i Królestwa mogą materjał ilustracyjny przesyłać pod adresem p. Wacława Dzierżawskiego, Warszawa, Włodzimierska 15.

Kordecki w obronie Częstochowy, powieść historyczna dla młodzieży z J. I. Kraszewskiego streścił Or-ot. Na pamiątkę 300-lecia urodzin O. przeora Kordeckiego. Z 4 rycinami. Warszawa. Nakład Konstantego Treptego, Marszałkowska 149. Druk Synów St. Niemiry, Plac Warecki 4.

Księgarnia K. Treptego, która wydawnictwom swoim daje zawsze gustowną i estetyczną szatę puściła obecnie w świat książkę pod powyższym tytułem, przeznaczając ją na podarek gwiazdkowy dla młodzieży. Samo dzieło jest zbyt znane, ażeby się o nim rozpisywać, streszczenie jego przez znanego poetę Or-ota dokonane zostało nader umiejętnie. Ale zewnętrzna strona książki—okładka jest zupełnie nowością w naszych stosunkach wydawniczych, dotychczas nie spotykaną. Przedstawia ona *en relief* widok dawnej wieży Jasnogórskiej, wykonany z wielką dokładnością oraz artyzmem, zarówno w całości, jak i w szczegółach, sprawiając nader estetyczne wrażenie. I pomysł i robota zasługują na uznanie, tymbardziej, że klisza do okładki nie sprowadzona z zagranicy, lecz wykonana została na miejscu, w pracowni grawerskiej p. St. Lipczyńskiego w Warszawie.

Katalog wydawnictw nakładowych i komisowych księgarni i składu nut Jana Fiszera w Warszawie, Nowy Świat 9, 1904. Katalog ten obejmuje sześcioletnią działalność księgarni J. Fiszera (1898—1904) i przedstawiając się ilościowo b. poważnie, pochlebnie świadczy o ruchliwości i pracy młodej firmy.

Listy do Redakcji.

Redakcja „Dzwonka Częstochowskiego" nadesłała nam następującą wiadomość:

W czasie pobytu tegorocznej pielgrzymki polskiej w Rzymie Ojciec św. Pius X udzielił błogosławieństwa apostolskiego wydawnictwu „Dzwonek Częstochowski", wychodzącemu w Częstochowie, pod redakcją księdza Józefa Adamczyka, a poświęconemu czci Najśw. Marji Panny.

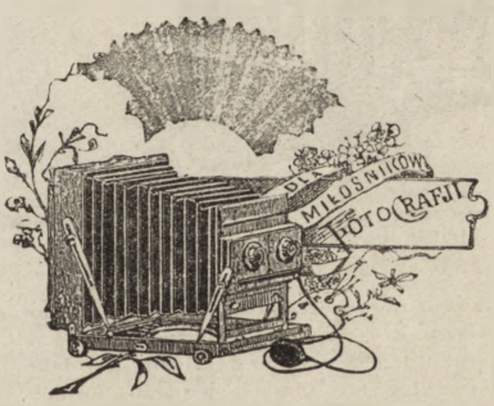
Jest to niejako odnowieniem błogosławieństwa, udzielnego temuż wydawnictwu przed dwoma laty przez ś. p. Papieża Leona XIII.

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowny Panie Redaktorze!

Konstantowa hr. Przezdziecka ma zaszczyt najuprzejmiej prosić Szan. Pana o łaskawe pomieszczenie w łamach Jego poczytnego pisma następującej notatki:

Ś. p. Konstanty hr. Przezdziecki nabył rękopis „Grażyny" A. Mickiewicza i często go użyczał uczonym, pracującym nad twórczością wielkiego wieszcza. Po śmierci w r. 1897 ś. p. hr. Konstantego okazał się—zarówno w pozostałych papierach, jak i w bibljotece hr. Przezdzieckiego — brak wymienionego rękopisu; paroletnie szczegółowe poszukiwania go nie wydały też żadnego dodatniego rezultatu. Ze względu więc na ogromne znaczenie rzeczonego rękopisu dla historji literatury polskiej, uprasza się najuprzejmiej osoby, mogące wiedzieć o obecnym miejscu znajdowania się rękopisu „Grażyny", o łaskawe zakomunikowanie o tym Zarządowi Bibljoteki hr.hr. Przezdzieckich pod adresem: Warszawa, Bibljoteka hr hr. Przezdzieckich, ulica Szczygła Nr 7.



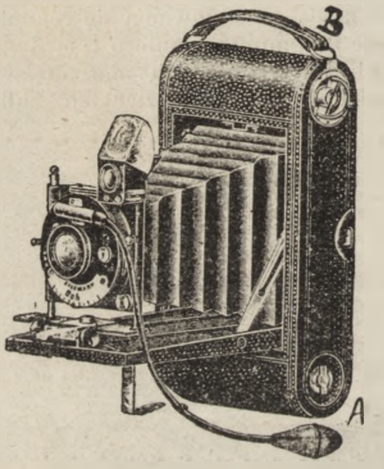
Jak zostać fotografem?

XIV.

Aparaty momentalne do zdjęć na błonach, nawiniętych na rolkę, bywają albo wyglądu skrzynkowego, albo systemu aparatów składanych z miechem, albo systemu jumelle lub gatunków pośrednich między tym i owym. Zasadniczo różnią się od wszystkich powyższych specjalnym urządzeniem do zdjęć na błonach czułych, zastępujących klisze szklane. W tylnej części aparatu z jednej strony znajduje się miejsce na włożenie wałka z nawiniętą błoną (A) a z drugiej strony miejsce na wałek pusty (B). Oba te wałki, pusty i z błoną, obracają się. Koniec, zdjęty z wałka błony, przyczepiamy do wałka pustego, w ten sposób błona wyciągnięta, znajdująca się między jednym a drugim wałkiem wprost objektywu aparatu, tworzy kliszę fotograficzną błonkową. Za każdym zdjęciem nakręcamy korbkę i przesuwamy dalszą część błony aż do wyeksponowania całej t. j. przejścia z jednego wałka na drugi. Z drugiej strony błony są odbite numery, widoczne przez szybkę zewnątrz aparatu, pokazujące, którą część błony t. j. kliszę wyeksponowaliśmy. Z tylnej części błony znajduje się czarny papier, zapobiegający wyświetleniu błony, jak również z początku oraz na końcu błony nawija się wstęga czarnego papieru. W ten sposób, rozwijając jeden koniec lub zwijając drugi, mamy na początku i końcu tylko sam papier. Dzięki temu, rozwinąwszy początek błony, można ją

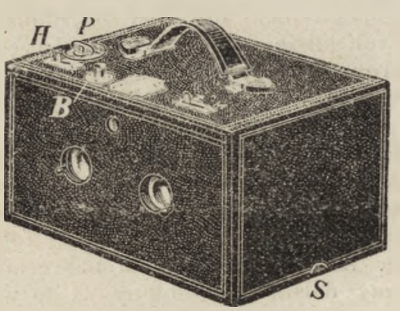
założyć do aparatu przy dziennym świetle, to samo bywa i przy wyjęciu jej z aparatu. Jest to wielka dogodność w podróży. Błony są nadzwyczaj lekkie. Użycie ich podczas wędrówek jest z tego powodu praktyczniejszym od klisz szklanych, ciężkich i narażonych na zbicie. Aparaty do błon mogą być tak urządzone, że przy pewnych zmianach służą i do zdjęć na kliszach szklanych. Załączamy rysunek aparatu składanego do zdjęć na błonach a drugi systemu skrzynkowego.

Wykończanie klisz błonowych nie przedstawia żadnych trudności. Wszystkie powyżej opisane aparaty ręczne momentalne posiadają urządzenie, pozwalające przy zdjęciach dłuższych umocować aparat na statywie.



Aparat do błon składany.

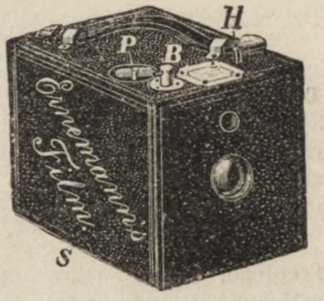
Prócz powyżej wyszczególnionych są jeszcze aparaty t. z. stereoskopowe. Aparatem stereoskopowym może być aparat każdego systemu. Różni się taki aparat tym od zwykłego, że zamiast jednego posiada w przedniej części dwa zupełnie jednakowe objektywy i wykonywa z tego powodu na kliszy dwa zupełnie jednakowe, jedno przy drugim, zdjęcia. Zdjęcia te, odbite następnie na papierze i naklejone przy przestawieniu prawego zdjęcia na lewą stronę, a lewego na prawą, oglądane przez przyrząd, zwany stereoskopem, dają złudzenie, jakbyśmy mieli przed oczyma obraz



Aparat stereoskopowy.

nie płaski, lecz bryłowaty, wypukły. Pochodzi to stąd, że przy zdjęciu otrzymujemy dwa identyczne obrazy: jeden taki, jaki przedstawia się lewemu, a drugi prawemu oku. Obrazy te, rozpatrywane następnie przez stereoskop, dają tę wypukłość, widzianą przez nas w naturze okiem.

Powyżej staraliśmy się streścić opis głównych systemów i rodzajów aparatów fotograficznych W treściwym wykładzie nie sposób opisywać obszernie systemy odmienne, jakie nietylko co rok, ale prawie co miesiąc zjawiają się na świecie. Zastanowiliśmy się dłużej nieco nad opisem aparatu składanego statywowego, jaki może być przyjęty za typ zasadniczy, a który



Aparat do błon skrzynkowy.

każdy fotografujący powinien poznać; później wyliczyliśmy główniejsze odmienne konstrukcje. Nie mogliśmy również dla braku miejsca opisać szczegółowo różnych części aparatów, w których zaprowadzono zmiany, zresztą nie mające donioślejszego znaczenia. Do tych części należą również, magazyny, przystawiane do aparatu, zastępujące kasety, służące na pomieszczenie nie jednej lub dwóch, lecz licznych klisz, zmieniających się podczas zdjęcia za pomocą specjalnych urządzeń.

Nie opisywaliśmy szczegołowo różnych systemów wizjerów t. j. przyrządów, znajdujących się przy aparacie, a służących do rozpatrzenia zdejmowanego przedmiotu w zmniejszonym wymiarze, lecz w wyglądzie takim, w jakim go aparat ma uchwycić.

Pominąwszy te wszystkie szczegółowe dane, które należy sobie uzupełnić podczas praktyki, przystępujemy do spisu dalszych czynności fotograficznych t. j. do wykończenia kliszy, a następnie robienia z niej odbitki.

(*d. c. n.*) *Wł. Karoli.*

Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo." „Restado estas mort..."

(*Ciąg dalszy*).

Bibljografia Z prawdziwym żalem nie możemy, z braku miejsca, podawać w naszej „Kronice" choćby skróconych tytułów *wszystkich* wydawnictw esperantycznych. Nim zdołamy zaradzić na to w przyszłości—poprzestaniemy, przez czas pewien, na cytowaniu jedynie *niektórych* tylko dzieł, i to *wyłącznie* w języku Esperanto a) **Wydawnictwa dotychczasowe:** *Grabowski Antoni:* Kondukanto Internacia de l'Interparolado kun Modeloj de Leteroj. Nürnberg 1890. Prezo: 75 cent.—*Leibnitz S. W.:* Monadologio. Tradukinto E. Boirac, rektoro de l'Universitato de Dijono. Paris. Librairie Hachette et C-ie. 1902. Prezo: 60 cent.—*Molière J. B.:* L'Avarulo. Tradukita de Samuel Meyer (Verko ricevinta la unuan premion—sekcio honora - ce la dua konkurso literatura

de la S. F. p. E.) Paris. Hachette et C-ie. 1904. Prezo: 75 cent.—*Parisot J. kaj Carl Th:* Esperanta Versfarado lau verkoj de d ro Zamenhof kaj aliaj autoroj, en Esperanto. Parizo. Cze Redo. „Lingvo Internacia". Boulevard Arago, 27. 1904. Prezo: 30 cent.—*Virgilio:* Eneido, Kantoj I kaj II. Tradukis d-ro Vallienne. Paris. Hachette et C-ie. 1904. Prezo: 60 cnt. — *Zamenhof Ludoviko d-ro:* Fundamenta Krestomatio de la Lingvo Esperanto. Paris Hachette et C-ie. 1903 Prezo: 3 fr. 50 cent.=1 rb. 50 kop. (Dzieło niezmiernie ważne dla pragnących wydoskonalić się w języku Esperanto). **Uwaga.** Wszystkie powyższe dzieła nabyć można bądź *w księgarni Michała Arcta w Warszawie*, Nowy Świat, róg Wareckiej; bądź w Sekretarjacie Towarzystwa Esperantycznego Paryskiego, pod adresem: *Mr. le Secrétaire du Groupe Espérantiste de Paris, 28, rue Serpente, 6-e („Association française pour l'avancement des Sciences");* bądź wreszcie u każdego z wydawców tychże dzieł.—**b) Wydawnictwa zapowiedziane:** *Almanako Esperantista*, opracowywany przez prof. S. Roy w którym znajdą się wszelkie wiadomości, dotyczące poczty, telegrafu, telefonu, monet, miast, wag, handlu, przemysłu, marynarki, szkół, zjazdów, kongresów, dziennikarstwa, korespondentów, tłómaczów, a wreszcie: informacje dla turystów, fotografów-amatorów, zbieraczy kart pocztowych i t. d. i t. d. *Jarlibro de la Franca Societo por la Propagando de Esperanto* (na rok 1905).—*Tutmonda Jarlibro Esperantista* (równie na r. 1905).—*Majstro Jan Hus* La vivo agado, kondamno kaj morto de l'glorinda martiro. Esperantigis: J. F. Khun. Z portretem Husa i przedmową prof. d ra Carlo Bourlet. Cena 85 cent. Zwracać się z zamówieniami do p. J. F. Kuhn'a, w Vrsce-Kopidlno (Czechy).

„Grupy", „Kluby", „Towarzystwa".—Béziers (Francja). Założono tu niedawno drugie już z kolei Towarzystwo Esperantyczne, przeznaczone wyłącznie dla pań i panien. *Sekretarka:* pani J. Flourens.—**Frankfurt nad Menem** Przed kilku tygodniami powstało tu nowe Towarzystwo Esperantyczne, które w chwili swego założenia, liczyło już około 50 członków. *Wice-prezes i założyciel Towarzystwa:* C. Barthel, Wöhlerstrasse, 14. — **Londyn.** 14 października r. b. zorganizowano w stolicy Wielkiej Brytanji, Związek towarzystw esperantycznych angielskich pod nazwą: *British Esperanta Association Sekretarz* Związku: Mr. H. Clegg i Miss E. A. Lawrence Norfolk Street (Strand), 14. London W. C.

Kongres przyszłoroczny. — Wielki, przyszłoroczny Kongres Esperantyczny, mający się odbyć w sierpniu r. 1905 w Boulogne sur Mer (Francja)—coraz to większe wzbudza zajęcie. Organizacją tego zjazdu zajmują się energicznie: Francuskie Towarzystwo dla propagandy języka Esperanto, Francuski Touring-Club, Towarzystwo Esperantyczne Paryskie i Towarzystwo Esperantyczne w Boulogne sur. Mer. Niezależnie od czterech tych instytucji, pracuje, w miarę swej możności, dla urzeczywistnienia tej myśli, i wiele innych Towarzystw Esperantycznych.

Kursa najnowsze.—Z powodu odczytów o języku Esperanto, wygłoszonych niedawno przez prof. Ricardo G. Abrill w San-Salvador, dyrektor tamtejszego „Instytutu Narodowego", złożył o nich ministrowi oświaty dość długi raport, który zakończył w ten sposób: „Sądzę, Ekselencjo, że byłoby wielce pożądanym, korzystając z kompetencji prof. R. Abrill, otworzyć i u nas kursa języka Esperanto, który może się stać bardzo użytecznym w przyszłości". Kursa takie w San-Salvador (Ameryka Południowa) mają być niebawem rozpoczęte.-Uniwersytet i lekarze Szpitala Miejskiego w Palermo zażądali temi czasy od tamtejszego lekarza-esperantysty, d-ra Vitangelo Nalli (Corso Catalafimi, 495), publicznych wykładów języka Esperanto. Równocześnie rozpoczęli je we Włoszech: dr. Carolle w Bagheria i p. Boscarini w Scieli.—Świetny tłómacz na język Esperanto „Burzy" Szekspirowskiej, p. A. Motteau, otworzył niedawno kurs tegoż języka w salonach Towarzystwa londyńskiego: *Union of Ethical Societies* (Buckingham Street, Strand, 10, w pobliży Charing-Cross).—Prof. języków: niemieckiego i hiszpańskiego, w Kolegjum, w Saint-Girons (Francja) p. S. Roy—rozpoczął tamże od 15 listopada r. b. nowy kurs języka Esperanto. Jak donosi *Le Memorial d'Amiens* (z 10 października r. b.), kurs języka Esperanto, po wyjeździe z tego miasta prof. d-ra J. Delfour'a, prowadzi w dalszym ciągu prof. tamtejszego Liceum, M. Queste (Rue Saultier de Rumilly, 74)—W Béziers, również we Francji, rozpoczęła kurs języka Esperanto, przeznaczony wyłącznie dla dam — pani J. Flourens.—I w Boulogne sur Mer, nakoniec, z powodu gorącego zainteresowania się mieszkańców tego miasta mającym się tu odbyć wielkim kongresem esperantycznym główny jego inicjator i adwokat tamtejszy, Alfred Michaux (Rue Wissocq, 26), urządza kilka świetnie zapowiadających się, publicznych kursów języka Esperanto

Rubryki Esperantyczne w Czasopismach obcych (ciąg dalszy).—**1903:** Jeden z najgłówniejszych i najwykwintniej ilustrowanych tygodników amerykańskich, wydawanych w Montréal, w Kanadzie, p. t. **Album Universel** (każdy numer objętości 40 wielkich stronic) — otworzył swe szpalty od stycznia r. 1903, dla wszelkich artykułów o języku Esperanto. W nader rozpowszechnionym dzienniku francuskim: **Lyon Republicain** (165,000 abonentów)—prof. Uniw. Ljońskiego i wice-prezes Francuskiego Towarzystwa Mineralogicznego, dr. Albert Offret, prowadzi od początku 1903 roku stałe *Kroniki Esperantyczne.* W czasopiśmie dla ociemniałych, noszącym tytuł: **Louis Braille** (Paryż), propaguje stale od początku roku 1903 język Esperanto p. Edgard Guilbeau, prof historji w Paryskim Narodowym Instytucie Ociemniałych. Naczelny inżynier leśny, Ricardo Codorniu, także począwszy od roku 1903, drukuje stale w **La Verdad** (Murcio—Hiszpanja), liczne artykuły o języku Esperanto zarazem *Kroniki* o ruchu esperantycznym.—Począwszy również od roku 1903, dr. I Ostrowski umieszcza stale w czasopiśmie: **Krimskij Kurjer** — *Kronikę Esperantyczną* i inne artykuły o języku Esperanto. I czasopismo **Mémorial Artésien**, wydawane w Saint-Omer, we Francji, drukuje od początku roku 1903 stałe *Kroniki Esperantyczne*, podobnie, jak czasopismo szwedzkie **Korrespondens**, wydawane jeśli się nie mylimy, w Stockholmie, które umieszcza także od początku tegoż 1903 roku wzory listów handlowych w języku Esperanto, *Kroniki* o obecnym jego rozwoju, pana P. Ahlberga (Stockholm, Dobelsgatan, 50) i t. d. Zasłużony esperantysta i wydawca flamandzkiego czasopisma ilustrowanego: **De Lusthof**, p. A. I. Witteryck z Bruges, w Belgji, wprowadza w tymże piśmie od połowy roku 1903 — stałą *Kronikę Esperantyczną.* Od połowy mniej więcej tegoż, 1903 roku, inż. L. Pourcines zaczyna pisywać „bardzo zajmujące", stałe *Kroniki* o ruchu esperantycznym w **L'Auto-Revue de l'Est** (Nancy). W połowie (?) też roku 1903, zaczyna drukować stale artykuły o języku Esperanto czasopismo bułgarskie: **Bałkanskata Federatiwna Republika.**

(*C. d. n.*) *A. B. B.*



Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata": *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb.* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści":** *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb* 1 *kop.* 50.—*Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 88. *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop.* 20 —*Cena numeru kop.* 10.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 6 Ноября 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.